

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

Powieść.

Co prawda, wiolonczelista kochał Julię namiętnie, lecz żona doktora pragnęła pozostać i pozostała wierna swoim obowiązkom. Zwierzała się tylko młodymu przyjacielowi ze swoich zmartwień, pozwalając mu mieć nadzieję, że może kiedyś zgodzi się na rozwód, pożycie bowiem z mężem stawało się dla niej coraz bardziej przykrem i trudnym do zniesienia.

A młodzieniec powtarzał ciągle:

— To tylko mogę ci, Julio, powiedzieć, że zachowuję dla ciebie miejsce przy moim ognisku rodzinnym. Matka moja i ja jesteśmy ubodzy, lecz chciej wierzyć, że dołożymy wszelkich starań, żeby cię uczynić szczęśliwą. Pewny jestem, że w naszym ciepłym kącie i w naszym szczerze ci życzliwym otoczeniu, zapomnisz łatwo o zbytku, jaki cię dziś otacza.

Julia czule przycisnęła ramię, na którym się opierała.

— Drogi mój! gdybym kiedykolwiek została twoją żoną, nie chciałabym ci być ciężarem. Dawać będę lekcje. Wszakże już byłem nauczycielką. Lecz w jaki sposób brat mój zdola zarabiać na życie?

— Wcale dobrze gra już na skrzypcach, więc może być przyjęty do jakiejś orkiestry. Bez wątpienia takie istnienie nie jest ani rozkoszne, ani wygodne, lecz czyż nie lepszą jest bieda przy niezależności, aniżeli zamknięcie w tym okropnym domu?

Julia wzdrygnęła się całym ciałem.

— Masz zupełną słuszość! Nie znam nic straszniejszego od życia, spędzonego w pośród wariatów! Wolę tędy, niż stykanie z nimi nieustannie. Uśmiechają się słodko, rozumują rozsądnie, mówią niby jak wszyscy, aż nagle wzrok ich staje się błędny, w oczach maluje się dzikość, pienia się, pragną bić mordować. A krzyki, które słyszę niemal w noc każdą i w czasie burzy!... A katastrofy, których co chwilę spodziewać się można!... Niedawno Sempuis z trudnością ugasił pożar, wzniecony przez jednego ze złośliwych szaleńców. W przeszłym miesiącu pewien obłąkany zdruzgotał szcękę czuwajacemu nad nim dozorcę, pomimo że w ciągu długiego przeciągu czasu okazywał mu wielką życzliwość.

Umilkła — i zadrżała nagle. Towarzysz jej stanął jak wryty. Wsłuchiwał się w jakiś głos niezwykle chrapliwy, tętniący straszną boleścią.

— Och! czy słyszysz? — szepnął przejęty trwogą.

Drzwi szaletu, przed którym się zatrzymali, otwarte były na rozścieś. Jęk żalostny, pełen niewysłowionego bólu, zmroził krew w ich żyłach. Nie można było pochwycić uchem ani jednego zrozumiałego wyrazu, bo tylko zdławione jakieś dźwięki wydobywały się z czyjejś piersi. Poczem nastąpiła cisza. Łatwo było odgadnąć, że ta pierś, przed chwilą wstrząsana straszliwym jakimś cierpieniem, wyzionęła obecnie ostatnie tchnienie.

Zapominając o wszelkiej ostrożności Ludwik Marsol poskoczył naprzód.

— Okropność!... Ktoś niezawodnie kona!

W pobliżu wejścia do szaletu, potknął się na leżącym przy progu ludzkim ciele.

Julia podążyła za nim, wołając:

— Mój Boże! ostrożnie! Może to wariat, który wymknął się w napadzie wściekłości!

Ludwik, zmienionym przez wzruszenie głosem, odpowiedział spiesźnie:

— Sądzę raczej, że zabił swego dozorcę!

Pochylił się, pomacał nieruchome ciało i nagle wyprostował się z krzykiem przerażenia, ręce jego bowiem zwałata krwawa posoka.

— Krew! — wybełkotał. — Krew płynie... krew sączy się z tego człowieka.

Poczem w chwili, gdy Julia niemal omdlewała, oparła się o ścianę domku, młody człowiek wydobył kieszonkową lampkę elektryczną i pochylił się znowu nad trupem.

Teraz twarz ofiary, blada i wykrzywiona przedzgonną konwulsją, ukazała mu się wyraźnie.

Ludwik krzyknął zdławionym głosem:

— Doktor!... To jest doktor Manescault!

— Mój mąż! — jęła Julia.

Ludwik przyglądał się nieszczęśliwemu.

— Tak, doktor... nie żyje... przetrznęte ma gardło... krew wypłynęła tą okropną raną...

Julia, chwytając się ciała, przystąpiła bliżej.

— Pobiegnę do zakładu... obudzę lekarza-asystenta... przywiodę go tutaj!

Lecz Ludwik, który szybko zorientował się w niebezpiecznym dla obojga położeniu, zatrzymał ją.

— Pozostań na miłość Boską!... Pomyśl tylko, co chciałaś uczynić. Pragniesz wzywać pomocy, ależ wzywałabyś na próżno, bo tego nieszczęśliwego już ocalić nie można! Nie żyje... skonał przed chwilą... a ty przecie nie możesz powiedzieć doktorowi Jintot i całemu personalowi zakładu, że znajdowałaś się w parku o tak spóźnionej godzinie. Wezwanie twoje obudziłoby podejrzenia, wywołałoby skandal... Byłabyś shańbioną! Nie oddalaj się stąd pod żadnym pozorem.

Julia zatrzymała się pomięszana i zdumiona.

— Masz poniekąd słuszość, pojmuję to, a jednak nie podobna pozostawić go bez pomocy.

— Powtarzam ci, że umarł. Żaden wysiłek najtroskliwszych starań, żadna wiedza lekarska nie zdola przywrócić mu życia...

Upadła na kolana i szeptała słabym głosem:

— To okropność!... Co czynić?... Co począć?

Ludwik otarł zimny pot, występujący mu na czoło.

— Pojmuję twoje wzruszenie i dzielę je z tobą, lecz teraz przedewszystkiem o tobie myśleć należy, bronić twojej reputacji od złośliwości ludzkiej.

— Cóż robić? — powtórzyła zrozpaczona kobieta.

— Wrócić pocichu do domu! Zamknij się w swoim pokoju i udawaj, że nie wiesz nic o dramacie, który tu odkryliśmy w tak fatalnym dla nas momencie...

Julia drgnęła całym ciałem i zawołała z nerwowym rozdrażnieniem:

— Opuścić mego męża, broczącego krwią, nie starając się nawet nieść mu pomocy, nie próbując dowiedzieć się, jak i przez kogo popełniona została ta okropna zbrodnia?! Nie, nie! to rzecz niemożliwa! Co ma się stać ze mną, niech się stanie... pobiegę i przywołam...

Lecz w chwili, gdy zwróciła się cała drżąca, bybiec ku zakładowi, Ludwik pochwycił ją w pól i zatrzymał.

— Zaklinam cię, Julio, na to, co masz najświętszego, nie popełniaj bezcelowego szaleństwa, które zgubić cię może! Wróć do domu pocichu, poczem ja wymknę się z parku. Nie ulega wątpliwości, że któryś z dozorców spostrzeże wkrótce nieszczęście, podnieśnie ciało... i prawdopodobnie pochwyci zabójcę, ubezwładniwszy go wprzód. Nie może nim być kto inny, jak tylko ów szaleńiec, przebywający tu, w tym pawilonie. Lecz lada chwila — dodał, cały przejęty obawą, zniżając głos do głuchego szeptu — możemy być spostrzeżeni oboje... Więc, Julio, chodź.. uciekajmy stąd!... Nie jesteś w stanie przywrócić życia zmarłemu, więc ocal przynajmniej jego honor a za razem i swoje dobre imię uchroni od skazy... Gdy nas tu znajdą w tym pustym parku, w nocy, nikt nie uwierzy w niewinność naszego stosunku. Wszyscy nas potępia...

Dłuższy czas przemawiał w ten sposób gorąco i czule. W końcu przekonał Julię. Zgodziła się opuścić ciało męża, a dalszy ciąg wypadków tragicznej nocy zdać losowi. Wzruszenie złamało młodą kobietę tak bardzo, że Ludwik musiał ją ciągle podtrzymywać i nieść prawie, wiodąc do domu.

W olbrzymim gmachu zakładu prywatne apartamenty doktorstwa Manescault znajdowały się w jednym z bocznych skrzydeł, na pierwszym piętrze. Narażając się na niebezpieczeństwo, że ktoś ze służby w domu zdrowia spostrzeże go, zatrzymał się Ludwik na tarasie aż do chwili, w której jego ukochana ukazała się w otwartym oknie i dała mu znak, że dostała się do swojej sypialni nie spotkawszy na schodach i w korytarzach nikogo. Wtedy dopiero młody muzyk, jeszcze wstrząśnięty do głębi dramatem, do którego został wciągnięty, oddalił się szybko i wyszedł z parku przez jedną z furtiek, od której posiadał klucz, dany mu przez Julię.

Zamiast powrócić do Paryża ostatnim, odchodzącym po północy tramwajem, jak to uczynił poprzednich odwiedzinach, postanowił spędzić noc w pobliskiej wiosce, żeby w danym razie być bliżej Julii i jeśli tego potrzebować będzie, wesprzeć ją dobrą radą.

— Co jutro przyniesie?... Jakie wrażenie wywoła wieść o tem, co się stało? — myślał przygnębiony moralnie i fizycznie znużony.

Nagle niespodziana myśl, jak błyskawica przeleciała mu przez głowę i wywołała silniejsze bicie serca w piersi.

— Julia jest obecnie wdową!

ROZDZIAŁ II.

Policja w Pawilonie bzów.

Wybiła godzina jedenasta. Guillaume, komisarz policji w Villeneuve, przybył na miejsce, na którym rozegrał się nocny dramat i metodycznie rozpoczął

przedwstępne śledztwo. Wysoki, chudy, o suchym długim nosie i zwisłym, siwiejącym wąsie, wyglądał na ex oficera, który dłuższy czas spędził w Afryce. W istocie był dawniej agentem tajnym, cieszącym się niegdyś pewnym uznaniem w prefekturze policji. Ze względu na osobiste zmartwienia, które w nim oziębiły dobry humor, przeniósł się na obecnie zajmowaną posadę, względnie spokojną i nie wymagającą wielkiej, służbowej gorliwości.

W towarzystwie Mikołaja Sempuisa udał się do wskazanego mu szaletu, noszącego nazwę „Pawilonu bzów”. Spojrzał bystro na schody i na futryny dźwi, na których widać było szerokie plamy krwi zaschłej i zczerniałej. Więc zaczął wypytywać naczelnego dozorcę:

— Powiedziałeś mi pan, że obchodząc dziś rano po raz pierwszy zabudowania, należące do domu zdrowia dla obłąkanych, spostrzegłeś tu zakrwawione i stężale już zwłoki dyrektora zakładu?

— Tak, panie komisarzu. Zaraz potem wszedłem na pierwsze piętro i znalazłem pacjenta, zamieszkującego pawilon, również nieżywego. Leżał w pośrodku, a przy nim zboczony krwią sztylet, którym prawdopodobnie zabił pana doktora Manescault.

— Gdzie są ciała zamordowanych?

— Ciało waryata pozostało tu, na pierwszym piętrze, a pana dyrektora przenieśliśmy do domu i złożyliśmy na łóżku w jego sypialni.

Guillaume zmarszczył brwi.

— Postąpiliście niewłaściwie, poruszając ciało z miejsca, na którym je znaleziono. Wszak powiedziałeś mi pan, że je spostrzegłeś o godzinie szóstej. Czy tak?

— Tak, panie komisarzu.

— Dlaczegoż dopiero o wpół do jedenastej zostałem o tem zawiadomiony?

— Potraciliśmy głowy w pierwszej chwili, więc nikomu z nas nie przyszło na myśl zawezwać policji.

— A jednak była to myśl pierwsza, która wobec tego rodzaju zbrodni powinna była zaświtać w głowach waszych.

Stary dozorca machnął ręką.

— Och! proszę pana komisarza, wszakże to wypadek, nie zbrodnia! My wszyscy, którzy mamy do czynienia z wariatami, równie lekarze jak dozorcę, narażeni jesteśmy codziennie na utratę życia. Nieszczęścia tego rodzaju w zakładach do naszego podobnych, przytrafiają się zbyt często, a policja w większej części wypadków nie pojawia się wcale. Tu najprzyszejszem jest to, że tym razem padł ofiarą pan dyrektor... Gdyby to był jeden z nas biedaków, niktby się nie pofatygował, żeby rzecz zbadać, a pozwolenie na pochowanie zwłok byłoby już wydane...

— Ktoby je wylał, postąpiłby źle i byłby za to odpowiedzialny — odparł Guillaume sucho i stanowczo.

Po chwili dodał:

— Komuż więc wreszcie przyszło na myśl zawiadomić mnie o fakcie?

— Doktorowi Jintot.

— Czy to krewny dyrektora Manescault?

— Nie. Jest lekarzem asystentem w zakładzie.

— Dlaczegoż nie stawiał się tu, aby mnie przyjąć?

W tej chwili pomiędzy rozmawiającymi pojawiła się wysoka i szeroka sylweta czarno ubranego człowieka.

Przedstawił się sam natychmiast.

— Jestem doktor Jintot. Proszę mi wybaczyć, że kazałem na siebie czekać. Ważne zajęcie zatrzymało mnie w zakładzie.

Był to człowiek o atletycznej, chociaż kształtnej budowie. Miał czarną czuprynę, nieco tylko zbielałą przy skroniach, a w gęstej, równie czarnej brodzie, wilo się kilka siwych włosów. Lica jego były żółtej cery, właściwej ludziom, którzy dłuższy czas spędzili w odległych koloniach, a ciemne oczy połyskiwały gorązkowym blaskiem. Wydawał się nieco starszym, choć liczył dopiero lat trzydzieści osiem. Miał powierzchowność wcale niepospolitą, a na twarzy jego malowała się inteligencja.

— To nie byle kto! — pomyślał komisarz.

Powtórzył uwagę, zrobioną już poprzednio Mikołajowi.

— Źle się stało, że przed zbadaniem sądowym poruszono i przeniesiono trupa. Dlaczego pan nie sprzeciwiłeś się temu?

Sempuis uprzedził odpowiedź doktora.

— Panie komisarzu, to my, dozorcę, przenieśliśmy ciało, nie czekając na rozkazy pana asystenta.

Doktor Jintot określił rzecz ściślej:

— Ujrzawszy naszych trzech dozorców, niosących ciało mego biednego przyjaciela i przełożonego,